

Dave Grohl

THE
STORYTELLER



Opowieści o życiu i muzyce

Przełożył
Adam Zdrodowski

MARGINESY

The Storyteller

COPYRIGHT © 2021 BY David Eric Grohl

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Adam Zdrodowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2022

DLA VIRGINII GROHL


Bez niej moje historie byłyby zupełnie inne

DLA JORDYN BLUM

Dzięki Tobie moja historia jest o wiele bardziej ekscytująca i piękna

DLA VIOLET, HARPER I OPHELII

Oby wszystkie Wasze historie były tak wyjątkowe i wspaniałe jak Wy



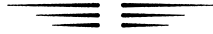
TAK,
CHCĘ BYĆ
TWOIM
PSEM!

SCREAM

SCREAM

Spring Tour, 1989

March 31...Richmond, VA
April 4....Columbia, S.C.
5....Orlando, Fla.
6....Tallahassee
7....Miami
8....Gainesville
9....Atlanta, GA
10
11
12...Hattiesburg, Miss
13...Memphis, Tenn.
14...Fayetteville, Ark.
15...Little Rock
16...New Orleans, LA
17.
18.
19...Austin, TX
20...Houston
21...Dallas
22...Tulsa, OK
23...Oklahoma City
24...
25...Albuquerque, N.M.
26...Las Crusas
~~27...Tucson, Ariz.~~
28...Phoenix
29...Los Angeles, Calif.
30...San Francisco
May 2....L.A.
3....L.A.
4...Las Vegas, NE
5...Salt Lake City
6...Berkley, CA
7...
8
9...Chico
10...Arcadia
11...University of Oregon
12...Portland
13. .Seattle, WA
14...Vancouver



Toronto, Kanada. 22 czerwca 1990 roku. Słoneczne popołudnie. Scream wyruszył właśnie w kolejną trasę po Ameryce Północnej swoim niezawodnym (choć cuchnącym) vanem. Zaczęliśmy od skoku przez granicę i kilku koncertów w moich ukochanych miastach, Montrealu i Toronto. Przez lata zespół zdobył w Kanadzie niewielką, ale oddaną grupę fanów i zaprzyjaźnił się z niesamowitymi ludźmi, którzy chętnie gościli nas na swoich postindustrialnych strychach i w mieszkaniach przy okazji naszych wizyt (w warunkach o wiele lepszych niż te, do których byliśmy wtedy przyzwyczajeni). Uwielbiam jeździć do Kanady od czasów pierwszej trasy, kiedy miałem osiemnaście lat. Zioło było dobre, dziewczyny urocze, a koncerty zawsze dzikie. I zazwyczaj przyciągały tylu płacących widzów, że mogliśmy bez większych problemów dojechać na kolejny gig. Tak naprawdę jednak warto było się tam tłuc przede wszystkim dla imprez z przezabawnymi Kanadyjczykami. Powiedzmy sobie wprost – Kanadyjczycy są zajebiści. Wyluzowani, szczerzy i cholernie zabawni. Niech mi ktoś udowodni, że da się w kanadyjskim mieście przejść jedną ulicę i z nikim się nie zakumplować. Nasza rozszerzona rodzina dziwaków i świrów za każdym razem witała nas z otwartymi ramionami i zawsze zapewniała świetną zabawę – grubo po północy

szwendaliśmy się po pijaku po ulicach Montrealu w poszukiwaniu kanapek z wędzonym mięsem i *poutine** albo upalaliśmy się i aż do świtu oglądaliśmy *Night Ride*. (*Night Ride* to do dziś jeden z moich ulubionych programów telewizyjnych – sprowadzał się do tego, że oglądało się obraz z kamery ustawionej na desce rozdzielczej samochodu, który przez godzinę jeździ po mieście, a soundtrackiem jest jazzowy motyw grany na skrzydłowie. Program należał do gatunku o przezabawnej nazwie „powolna telewizja” i kiedy człowiek coś wypił i wypalił, oglądanie przeradzało się w surrealistyczną, absurdalną medytację. *Night Ride* jest popularny wśród więźniów... tak przynajmniej słyszałem).

Spośród wszystkich miejscówek w Toronto najfajniejszy był klub The Rivoli na Queen Street West. Słynął z koncertów najciekawszych undergroundowych kapel i mieścił dwieście pięćdziesiąt osób, więc może nie przebijał Royal Albert Hall, ale był w sam raz dla zespołów takich jak nasz, no i nie było wątpliwości, że kiedy przyjdzie czas, zaatakujemy trzycyfrową liczbą decybeli i rozniesiemy to miejsce w pył. Nosiliśmy i ustawialiśmy sprzęt na malutkiej scenie, żeby zrobić próbę dźwięku – było jeszcze wcześniej – kiedy zauważyłem, że barman rozwiesza na lepkich, poplamionych papierosowym dymem ścianach plakaty reklamujące nowy album Iggy’ego Popa *Brick by Brick*. Dziwne, pomyślałem, ale skoro nie miało to nic wspólnego z naszym koncertem, podłączyliśmy instrumenty, rozkręciliśmy wzmacniacze i zaczęliśmy grać wysokooktanowego punk rock’n’rolla, ustawiając nagłośnienie i odsłuchy przed występem. Nasza ekipa składała się wtedy z jednego *roadie*, Barry’ego Thomasa (Kanadyjczyka do szpiku kości), więc rozstawianie sprzętu spadało na zespół. Żadnego dźwiękowca, żadnego oświetleniowca, tylko nasza czwórka i Barry. Zazwyczaj próba dźwięku w klubie odbywała się późnym popołudniem, tuż

* *Poutine* – frytki z sosem pieczeniowym i specjalnym rodzajem sera. Przekąska popularna szczególnie w kanadyjskiej prowincji Quebec.



ST. LOUIS

ART GROSSMANN PHOTO © 1989

NATIONAL BOWLING HALL OF FAME AND MUSEUM

This 1936 Studebaker bowling pin car was created by a Cleveland, OH, proprietor, National Bowling Hall of Fame & Museum, St. Louis, MO

Howdy Mom - JUST HANGIN OUT AT THE BOWLING HALL OF FAME EATING HOT DOGS AND BUYING T-SHIRTS. WE PULLED INTO ST. LOUIS AROUND 11:00 LAST NIGHT AFTER DRIVING FOR ALMOST 12 HOURS. THIS IS WHERE JENNIFER AND I SORT OF BECAME AN ITEM, SO ITS OUR LITTLE WALK DOWN MEMORY LANE. TODAY WE DRIVE TO OKLAHOMA CITY, PROBABLY ANOTHER 10-12 HOUR DRIVE. I LL CALL YOU THIS WEEKEND.



POST CARD

House of Mom

#3041 Art Grossmann Photo © 1989



LOVE
JAVID





MOM -
 WASSUP? I'M SITTING HERE
 IN A LITTLE HOUSE IN AN ANCHORAGE
 THINKING ABOUT HOW DIFFERENT
 EVERYTHING IS AROUND HERE.
 THE PEOPLE, THE PLACES...
 EVEN THE DUNKIN DONUTS SHOPS
 ARE DIFFERENT COLORS. ITS
 GOOD TO SEE THE COUNTRY
 LIKE THIS THOUGH, THERES SO
 MUCH MORE TO LIFE THAN
 BACKLICK SHOPPING CENTER
 AND SPRINGFIELD MALL. I LOVE IT...
 I REALLY DO MISS EVERYTHING
 THOUGH, I CANT WAIT TO GET BACK
 AND DRIVE THE HONDA. ALL IVE
 BEEN DRIVING LATELY IS THE VAN
 (occasionalux) AND ITS SERIOUSLY LIKE
 A HUGE TANK. BUT I SUPPOSE
 THATS JUST WHAT WE NEED.

4 YEAR - ABOUT THIS
 POSTCARD.....
 I THOUGHT THAT YOU
 WOULD BE WORRIED
 ABOUT MY HAIR LENGTH
 SO I MARKED OFF THE CURRENT
 HAIR LENGTH.

WELL, GOTTA RUN. BUT
 ILL GIVE YOU A CALL BEFORE
 YOU EVEN GET THIS.
 TAKE CARE MOM..... I LOVE
 AND MISS YOU SO MUCH.

DAVID

© 2009, ROBERT DORNEK, HAIR

przed otwarciem drzwi, a koncerty zaczynały się późnym wieczorem. Z jakiegoś powodu tym razem poprosili nas o przyjsie dużo wcześniej, w południe, choć graliśmy dopiero o dwudziestej pierwszej. Trochę nietypowo, ale zgodziliśmy się skwapliwie. Kiedy stroilem bębny, na ścianach pojawiały się kolejne plakaty Iggy'ego, więc zacząłem podejrzewać, że coś się święci. Przerwałem strojenie i zapytałem barmana:

– Hej, o co chodzi z tymi plakatami?

– Iggy ma przed waszym koncertem imprezę z okazji premiery płyty – odpowiedział nonszalancko. – Będzie też grał.

Praktycznie eksplodował mi łeb. To było cudowne muzyczne zrządzenie losu! To się nazywa znaleźć się we właściwym miejscu we właściwym czasie! Za chwilę miałem się znaleźć w tej samej zapuszczonej sali co ojciec chrzestny punka, PIEPRZONY IGGY POP! Ten facet, artysta znany wcześniej jako James Newell Osterberg Jr., jest jednocześnie Adamem i Ewą tego, co dziś nazywamy punk rockiem – i już niedługo miał zmienić ten niewielki bar w dźwiękowy rajski ogród! Termin „żywa legenda” nawet w niewielkim stopniu nie opisuje jego roli i znaczenia. Temu facetowi przypisuje się wynalezienie pieprzonego stage divingu. Niech ktoś spróbuje to przebić!

– Ale wy musicie się zmywać po soundchecku. To impreza tylko dla ludzi z wytwórni płytowej.

W jednej chwili marzenia o spotkaniu z muzyczną enigmą legły w gruzach. Prosiłem. Błagałem. Wstrzymywałem potok łez godny tysiąca fanów The Cure i gorączkowo szukałem wymówki, która przekonałaby faceta, że musimy zostać.

– A co... a co... z naszym sprzętem? Musimy tu być i pilnować, żeby nikt niczego nie ukradł! – wypaliłem z nadzieją, że koleś połknie haczyk i pozwoli nam wejść.

– Sprzętowi nic się nie stanie – powiedział. – To tylko parę osób z wytwórni.

Totalnie rozczarowani skończyliśmy próbę i wycofaliśmy się lizać rany w zardzewiałej puszcze, przeklinając zamknięte premiery

dużych wytwórni. Nie pozwolono nam przeżyć czegoś, co trafia się w życiu raz. Poczucie odrzucenia było porównywalne chyba tylko z tym, co przeżywałem, gdy dziewczyna rzuciła mnie podczas balu na koniec roku (który odbywał się na statku, więc utknąłem w nastoletnim czyścicu aż do powrotu do portu wiele godzin później). Gdyby w 1990 roku istniał termin FOMO, świetnie by pasował do tej sytuacji. Mieliśmy do wyboru tylko dwie możliwości: pochodzić po mieście w poszukiwaniu baru albo przesiedzieć dziewięć godzin w vanie, jedząc pizzę i słuchając radia. Byłem lekko wczorajszy, więc wybrałem wariant B.

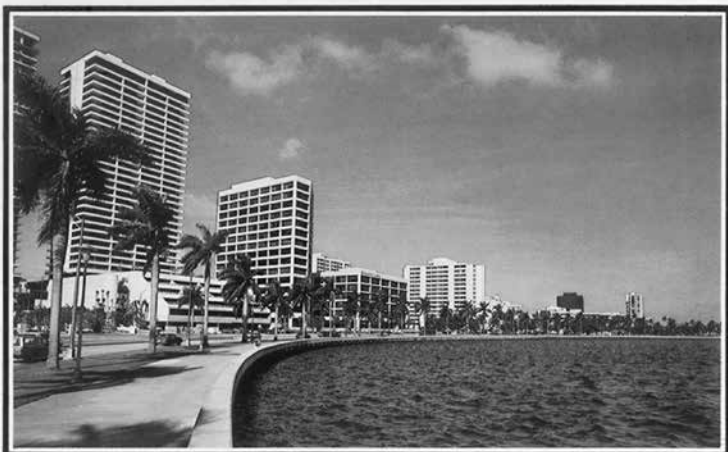
Chwilę później, kiedy chillowaliśmy w vanie, podjechała długa czarna limuzyna. Podjechała ukradkiem, stanęła w bocznej uliczce, jakby to była jakaś rock'n'rollowa tajna operacja. Otworzył się bagażnik. W tej samej chwili otworzyły się drzwi klubu i stanął w nich ochroniarz. Czekał na drogocenny ładunek. Wszystkie ruchy były zsynchronizowane i dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, jak gdyby chodziło o przysunięcie krzesła prezydentowi siadającemu do stołu. Z ekscytacją wyciągaliśmy szyje ze swojego wygodnego przytułku na kółkach, żeby dojrzeć idola we własnej osobie. I wtedy, jak anioł w wizji Daniela – pojawił się. Limuzyna parkowała blisko naszego vana. Iggy wysiadł: całe sto siedemdziesiąt centymetrów rockowej arystokracji, w starych jeansach i T-shircie. Podszedł do bagażnika, złapał futerał z gitarą i przemknął do środka. **JAK DOTĄD TO BYŁO MOJE NAJBLIŻSZE SPOTKANIE Z PRAWDZIWĄ GWIAZDĄ ROCKA.** Po latach studiowania jego twórczości jego piękny, zawadiacki image miałem wypalony w mózgu, ale to nie była dwuwymiarowa okładka płyty czy plakat. To było żywe wcielenie zajebistości, we własnej osobie. I tak po prostu po chwili drzwi na backstage zamknęły się za nim.

Już nieraz jak natchniony rozpływałem się w zachwycie nad dreszczem emocji, który zapewnia interakcja z ludźmi, i nad tym, jak ważne jest to w kontekście muzyki na żywo, ponieważ koncert przenosi nas z płaskiego, wirtualnego doświadczenia odbioru muzyki



NY- GREETINGS FROM MILANO ITALY
 THIS POSTCARD IS FROM AMSTERDAM
 BUT I JUST FOUND IT IN THE UAW SHOP
 I THOUGHT I'D GET RID OF IT.
 ALL OF THE ITALIAN SHOWS
 HAVE BEEN REALLY COOL. ENLIPONS
 IN ROME WHERE KATE GOT REAL
 SICK AND I HAD TO PLAY BASS
 FOR FIRE PARTY, BUT THAT TURNED
 OUT ALRIGHT ANYWAY.
 TONIGHT WE'RE PLAYING IN
 THIS REALLY BIG PLACE CALLED
 THE TATOO CLUB. THERE
 EXPECTING AROUND 1000
 PEOPLE. WOW WE'LL SEE
 FRANCE WAS A BLAST, THE
 LITTLE TOWNS WERE SO
 BEAUTIFUL AND
 ALL THE BAKERIES
 WERE TOO GOOD
 TO PASS UP.
 ALL THE
 PEOPLE HERE
 ARE SO DIFFERENT.
 I CAN'T BELIEVE IT.
 I REALLY CAN'T
 WAIT TO SEE YOU
 HERE. 2 GROHLS
 IN EUROPE AT THE
 SAMETIME!!! TAKE CARE
 TAITP XXOO

© BIRKBEER PUBLICATIONS Oud-Zijds Kolk Amsterdam 020-22 67 75
 560



WEST PALM BEACH



FLORIDA IMPRESSIONS
LASH PRINTS



HOWDY GUYS, I'M IN PALM BEACH NOW, ON MY WAY TO GAINESVILLE FLA. SO FAR WE'VE PLAYED ORLANDO, TALAHASSEE, AND MIAMI. WE SPENT SOME TIME ON THE BEACH IN MIAMI, GOT ALOT OF SUN AND DID SOME GOOD SWIMMING. IT SEEMS LIKE MORE OF A VACATION THAN A TOUR SO FAR. AFTER TONIGHTS SHOW WE HAVE 3 DAYS OFF AND THEN OFF TO TENNESSEE(P). EVERYONE HERE IS FILTHY RICH AND VERY TAN. WE ATE IN A LITTLE LUNCHEONETTE TODAY THAT THE KENNEDYS USED TO COME TO. KIND OF EXPENSIVE BUT COOL PEOPLE. I'M HAVING A GOOD TIME WITH EVERYONE, AND THE SHOWS HAVE BEEN O.K. I'LL WRITE AGAIN SOON. I MISS HAVING AROUND YOU GUYS ALOT SEE YOU SOON.

THEM GROHLS

WEST PALM BEACH, FLORIDA - Beautiful Waterways and Beaches Make this a Favorite Vacation Spot.
Photo by Werner J. Bortsch

© SCENIC FLORIDA DIST
305-963-7694

DAVID

NOT ITS THE 24th OF APRIL
I'M FINALLY
SENDING THIS

z nagrań do doświadczenia trójwymiarowego, namacalnego, daje poczucie, że życie jest prawdziwe i że nie jesteśmy sami. Nawet przypadkowe spotkanie z człowiekiem, którego muzyki słuchało się, dorastając – bez końca gapiłem się na okładki jego płyt, uczyłem się grać na perkusji, analizując jego poszarpane, plemiennicze rytmy – wystarczy, żeby zobaczyć wszystko w trzech wymiarach. Właśnie to wtedy przeżyłem. Nagrodą za wiarę w muzykę była ta chwila, gdy mogłem zobaczyć, jak Iggy wysiada z samochodu i znika w ciemnych drzwiach, którymi sam niedawno wyszedłem. Mój świat stał się trochę pogodniejszy. No i tyle.

Trochę później usłyszałem pukanie w okno.

– Który z was to perkusista?

Trzydzieści trzy lata w trasie nauczyły mnie, że po takim pytaniu nigdy nie następuje nic dobrego. Nierzadko zaraz po nim masz do czynienia z kajdankami, wezwaniem do sądu albo szybkim ciosem w szczękę. Nie to pytanie chcesz usłyszeć, kiedy stoisz w zaśmieconej uliczce w obcym kraju, tysiąc trzysta kilometrów od domu. Podniosłem głowę z przepoconego śpiwora z tyłu vana, źrenice rozszerzyły mi się ze strachu. Czekałem na ostrą reprimendę za bóg wie jakie przewinienia, które doprowadziły do trwającego właśnie przesłuchania. W ciężkim szoku i panice zacząłem przeglądać w myślach listę strasznych występków, które mogły sprowadzić na mnie ten żalostny los. Czy po próbie zostawiłem na podeście zapalonego papierosa, zaproszyłem ogień i wybuchł piekielny pożar, który strawił cały klub z Iggyem Popem w środku? A może w wywiadzie dla jakiegoś fanzine'u zrobiłem arogancką uwagę na temat miejscowej kapeli, co rozsierdziło jednego z jej członków? A może to jakiś mściwy były chłopak dyszący żądzą zemsty, odkąd dziewczyna zostawiła go dla mnie? (Najmniej prawdopodobny scenariusz. Mieszkałem w pieprzonym vanie, na miłość boską). Nieśmiało podniosłem drżącą dłoń i zaskamlałem cicho:

– Mmm... to ja...

– CHCESZ ZAGRAĆ NA BĘBNACH Z IGGYM POPEM?

Bycie we właściwym miejscu we właściwym czasie nabrało zupełnie niezziemskiego wymiaru.

Byłem tak zdezorientowany tą nieprawdopodobną propozycją, że na chwilę się zawiesiłem. Jak większość muzyków fantazjowałem o tym, że pewnego dnia mój ulubiony zespół zaprosi mnie na scenę, żebym zastąpił ich perkusistę, który z takich czy innych powodów nie może zagrać. Fantazjowałem tak o Scream, zanim dołączyłem do zespołu. A teraz to się działo naprawdę. Nauczyłem się grać na perkusji, słuchając płyt ulubionych wykonawców, więc potrafiłem odtworzyć ich albumy nuta w nutę, w tym nagrania Iggy'ego i The Stooges. Ta propozycja była po prostu spełnieniem marzeń. Ulżyło mi, już nie miałem serca w gardle i wyskakując z prowizorycznego posłania, krzyknąłem:

– JA PIERDOŁĘ, JASNE, ŻE TAK!

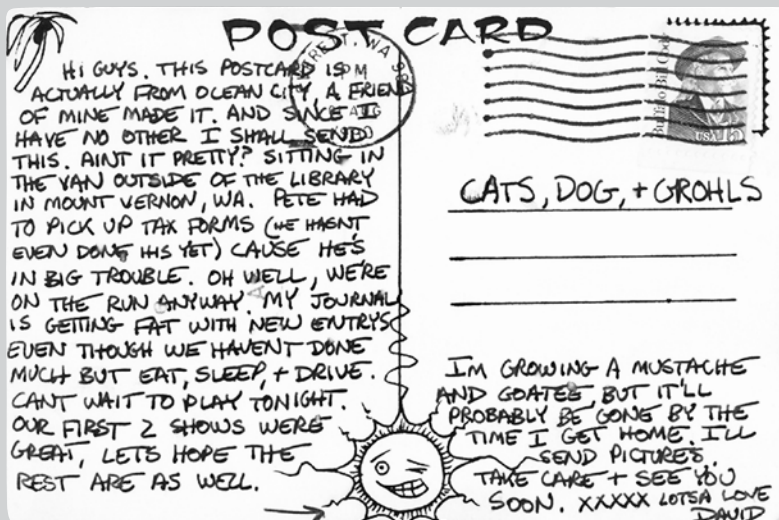
Gramoliłem się do wyjścia, a koledzy z zespołu gapili się ze szczękami na podłodze. Bocznyimi drzwiami wypadłem na ulicę i z narastającą ekscytacją popędziłem co sił na backstage.

Już w środku usłyszałem, jak ktoś brutalnie traktuje przesterowaną gitarę. Sprzężenia rozbrzmiewały z oghuszającą mocą. Wyszedłem zza rogu i zobaczyłem Iggy'ego – z gitarą w rękach stał naprzeciw ściany marshalli górującej nad nim jak monolit w filmie *2001. Odyseja kosmiczna*. Grał dysonansowe, dźwięczące akordy w wysokich pozycjach i kręcił gałkami w poszukiwaniu swojego tonu. Pierwsze wrażenie? Nosił okulary. I to nie jakieś *cool* okulary pieprzonej gwiazdy rocka. Nie, myślę, że to były zwyczajne okulary do czytania. Bogu dzięki za to, pomyślałem, bo od razu zeszło ze mnie trochę napięcia, które zacząłem odczuwać, kiedy zbliżałem się do sceny. Zanim zdążyłem się przedstawić, facet, który wyrwał mnie ze śpiwora, krzyknął:

– Hej, to ten dzieciak. Perkusista zespołu, który tu dziś gra.

Iggy odwrócił się z wyciągniętą ręką i powiedział:

– Cześć, jestem Jim.



Nerwowo uściskałem mu dłoń, tę samą dłoń, która napisała klasyki takie jak *Lust for Life*, *No Fun*, *Search and Destroy*, *I Wanna Be Your Dog* i wiele innych.

– Cześć, jestem Dave – powiedziałem, jak dzieciak, który pierwszego dnia szkoły poznaje swojego nauczyciela.

– Znasz moją muzykę? – zapytał z tym swoim charakterystycznym akcentem ze Środkowego Zachodu.

No i tak – od dziecka słyszałem, że nie ma czegoś takiego jak głupie pytanie. Ale w tamtej chwili nie mogłem sobie darować uśmiechu w stylu: co to za pytanie?! Żeby nie wiadomo jakiego skromnisia zgrywał Iggy.

– Tak. Znam twoją muzykę – odpowiedziałem.

– Chcesz pograć? – wypuścił drugi cios.

– TAK – odparłem oczywiście.

Doczołgałem się do stołka. Pieprzony Iggy Pop stanął parę centymetrów od złotego zestawu perkusyjnego Tama, który kupiłem za pieniądze zarobione na malowaniu domów i koszeniu trawników, i zaczęliśmy grać. Już po chwili rozbrzmiał zapętlony riff 1969. Włączyłem się, dokładnie odtwarzając na tom-tomie świetnie znany z płyty motyw. Tylko gitara i perkusja, nasza minimalistyczna wersja była surowsza niż ta klasyczna, z albumu (zzieleniejcie z zazdrości, The White Stripes). Potem diabelskie *I Wanna Be Your Dog*, chyba mój ulubiony kawałek z debiutu The Stooges z 1969 roku. A potem Iggy rzucił mi podkreśloną piłeczkę: zaczął grać piosenkę z nowej płyty (której jeszcze nie znałem), kawałek zatytułowany *I Won't Crap Out*. Z pasją kogoś, kto występuje na wyprzedanym stadionie, zaśpiewał:

*I'm standin' in a shadow, hating the world
I keep a wall around me, block out the herd
It's a nerve-wreck place to be, it kills real quick
You gotta scrape the concrete off your dick...*

Ponieważ nie znałem kawałka, podążałem za nim najlepiej, jak umiałem, zastanawiając się, po cholere zadaje sobie trud nauczenia mnie czegoś nowego, skoro i tak nikt nas nie usłyszy. Może czuł się samotny i chciał z kimś pograć? A może wspaniałomyślnie postanowił spełnić marzenie obcego dzieciaka i zaprosił go do wspólnego grania, żeby tamten miał o czym opowiadać do końca życia? Choć brzmi to dziwnie, skupiłem się na jego prawej ręce, znalazłem rytm i grałem, jakbyśmy n a p r a w d ę występowali na wyprzedanym stadionie. Skończyliśmy unisono z triumfalnym uderzeniem w crash.

– Świetnie – powiedział, kiedy skończyliśmy. – Gramy o szóstej.

Zaraz, co? My? Te kawałki? Dzisiaj? Nie tego się spodziewałem. Nawet przez chwilę nie myślałem, że będzie chciał zagrać te piosenki ze mną p u b l i c z n i e. Sądziłem, że to było spontaniczne *jam session*, coś dla zabicia czasu. Grałem tak tysiące razy z kolegami, w piwnicach i zakurzonych garażach wypchanych kanistrami z benzyną i narzędziami ogrodniczymi. Nie wiedziałem, że to pieprzone przesłuchanie! Szczeka mi opadła i patrząc na niego pełnym niedowierzania wzrokiem, zapytałem:

– Chcesz to zrobić dzisiaj?

Iggy uśmiechnął się i odpowiedział:

– Jasne, człowieku!

– A czy... nie potrzebujemy basisty? – zapytałem.

Wyglądał na zaskoczonego.

– A masz jakiegoś? – zapytał.

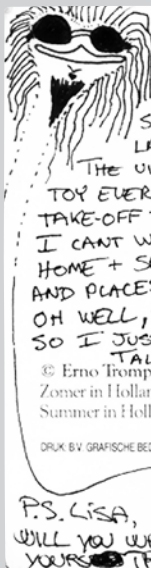
Jak szalony pobiegłem do vana, żeby zgarnąć naszego basistę, Skeetera. Chciałem jak najszybciej podzielić się tym niesamowitym doświadczeniem z kolegą z zespołu, bo wiedziałem, że doceni je tak jak ja. Skeeter też był wielkim fanem Iggy’ego i The Stooges (był również fenomenalnym basistą z feelingiem i doskonałym poczuciem rytmu). Szybko zrobiliśmy próbę i byliśmy gotowi na wieczór. Oficjalnie zostaliśmy sekcją rytmiczną Iggy’ego Popa, przynajmniej na jeden wieczór w Toronto.



SUMMER IN HOLLAND



WINTER IN HOLLAND



HI GUYS. I'M JUST HANGIN OUT TRYING TO GET SOME REST BEFORE ALL THE SHOWS. WE PLAYED LAST NIGHT IN ALKMAAR, IT WAS OK. FOR A FIRST SHOW. BUT EVERYONE IS WATCHING LAGGED PRETTY BADLY.

THE VIDEO CAMERA IS BECOMING MY FAVORITE TOY EVER. WE FILMED EVERYTHING FROM THE TAKE-OFF TO THE LANDING AND MUCH MORE. I CAN'T WAIT TO TAKE ALL THE TAPES HOME + SHOW YOU GUYS THESE PEOPLE AND PLACES. I THINK YOU'LL ENJOY IT. OH WELL, THIS IS JUST A LITTLE CARD SO I JUST WROTE A LITTLE BIT. TALK TO YOU SUNDAY.

© Erno Tromp
Zomer in Holland / Winter in Holland /
Summer in Holland / Winter in Holland

DRUX BV GRAFISCHE BEDRIJVEN P4 DEN HAAG

have,
Julia
© EMU productions
Tons o' Luv -
LADIE
© OMC design
P.O. Box 673

P.S. LISA,
WILL YOU WRITE?
YOURS TRUV

100



5
BRUNNO WITVASSER & LOWE

MIT LUFTPOST
PAR AVION

BUNCH O' GROHLS

Czekając, aż sala zapełni się ludźmi z wytwórni, staliśmy z Iggyem w mikroskopijnej garderobie za sceną, paląc papierosy i słuchając opowieści o jego niesamowitej karierze. **TEN SZALENIEC, UWIELBIANY ZA WYSTĘPY, PODCZAS KTÓRYCH SMAROWAŁ SIĘ MASŁEM ORZECHOWYM, CIAŁ SIĘ ODŁAMKAMI SZKŁA I OBNAŻAŁ PRZED WIDOWNIĄ, BYŁ PO PROSTU SERDECZNYM, CIEPŁYM, PROSTOLINIJNYM GENTLEMANEM.** Zaskoczeniem nie było końca! Czuliśmy się przy nim kompletnie na miejscu i zdenerwowanie szybko ustąpiło pełnemu ekscytacji oczekiwaniu na koncert. Od czasu do czasu ktoś z wytwórni pukał do drzwi i pytał: „Potrzebujecie czegoś?”. Skeeter i ja zorientowaliśmy się szybko, że ci ludzie sądzą, że n a p r a w d ę jesteśmy zespołem Iggy’ego! Więc bez wahania zaczęliśmy sprawdzać, jak bardzo możemy skorzystać z tej niewyobrażalnej okazji. Paczka fajek? Załatwione. Skrzynka piwa? Nie ma sprawy. Karton fajek? Oczywiście. Oświeciło mnie: tak to wygląda, kiedy osiągniesz sukces. Nie ma spania w zimnym wanie z czterema innymi facetami ściśniętymi jak sardynki w puszcze, w śpiworach, na półce ze sklejki, nie ma dziennego budżetu w wysokości siedmiu i pół dolara na Taco Bell i gówniane zioło. Nie ma powrotów do domu i błagania o ponowne przyjęcie do pracy, kiedy trasa się kończy, nie ma czekania, aż kolejna wyrwie cię z codziennego życia faceta bez wykształcenia. Nie ma czekania w brudnych uliczkach na szansę, która zapewni ci złudny status gwiazdy. Wiedziałem, że sukces bywa ulotny, więc zamiast tylko go posmakować, wziąłem całą garść.

Naszemu wyjściu na scenę towarzyszyła żywiołowa reakcja. Jeszcze nigdy takiej nie doświadczyłem: aplauz na miarę Iggy’ego Popa.

– FUUUUCK YOOUU!!! – wrzasnął do mikrofonu, kiedy odliczaliśmy do pierwszego kawałka, 1969, i tłum oszalał.

Iggy już nie był ciepłym, prostolinijnym gentlemanem, którego poznaliśmy na backstage’u – teraz był Iggyem, którego znają i wielbią fani punka na całym świecie. Miałem niewiele czasu, żeby porozmyślać nad tym, jak dzięki zrządzeniu losu moje życie zatoczyło koło. Z opuszczoną głową poddałem się chwili i zacząłem napięrczać

w żółty zestaw perkusyjny, jakby to była moja ostatnia noc na ziemi. Od czasu do czasu spoglądałem przez tłuste włosy na jego niesamowite, wyrzeźbione, wykrzywione ciało, biorące scenę w posiadanie tak jak na ikonicznych płaskich zdjęciach i w teledyskach, które widziałem tysiące razy. Tyle tylko, że w tamtej chwili był trójwymiarowy i dawał mi poczucie, że życie jest prawdziwe i że nie jestem sam. Skończyło się po paru minutach, o wiele za wcześnie. Z darmowymi papierosami i piwem w rękach podziękowaliśmy Iggy'emu i rozstaliśmy się. **W KOŃCU „OSIĄGNAŁEM SUKCES”, NAWET JEŚLI TYLKO NA JEDEN WIECZÓR. BYŁO TAK, JAK SOBIE WYMARZYŁEM.** To było zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Więc bez śladu rozczarowania cieszyłem się tym pięknym doświadczeniem. Wyobrażanie sobie, że jeszcze kiedyś znajdzie się we właściwym miejscu we właściwym czasie, równałoby się paranoi. Jakie było prawdopodobieństwo?

Trasa *Scream* trwała, choć nie bez komplikacji. Koncerty, które mieliśmy zagrać na Środkowym Zachodzie i które miały nam pozwolić dotrzeć na Zachodnie Wybrzeże, zostały odwołane, co oznaczało, że musieliśmy przejechać sześć i pół tysiąca kilometrów do Olympii w stanie Waszyngton na darmowych papierosach i drobnych, które zostały nam w kieszeniach. Nie mieliśmy nic do stracenia, więc postanowiliśmy spróbować. W końcu skoro dotarliśmy tak daleko, cóż mogła znaczyć kolejna długa podróż przez Amerykę?

Nie wiedzieliśmy, że będzie naszą ostatnią.

KAŻDY
DZIEŃ JEST
CZYSTĄ
KARTKĄ

ras
REAL AUTHENTIC SOUND

RAS RECORDS
P.O. Box 42517
Washington, D.C. 20015
(301) 564-1295

SCREAM
P.O. Box 4965
Falls Church, Virginia 22044 0965
U.S.A.



PETER MARC STAHL – VOCALS



SKEETER – BASS



DAVE GROHL – DRUMS



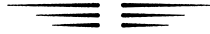
FRANZ STAHL – GUITARS

For Bookings in the United States:
Doug Carin, Tripple XXX Entertainment
6715 Hollywood Blvd., Suite 287
Hollywood, California 90028
(213) 466-8730

SCREAM

For Bookings in Europe:
Tos Niewenhausen
P.O. Box 14570, 1001 LB
Amsterdam, Holland
Tel. 31-20-882-152

PHOTOS BY: TOMAS



– Widział ktoś Skeetera?

Lekko skacowani po kolejnej szalonej nocy w Laurel Canyon zaczęliśmy powoli wypelzać ze śpiworów w zatłoczonym salonie w rozpadającym się bungalowie w Hollywood. Dzieliliśmy go z kilkoma dziewczynami, które zajmowały się zapasami w błocie w klubie Hollywood Tropicana. Rozejrzeliśmy się i policzyliśmy. Pete – jest. Franz – jest. Barry – jest. Ale Skeeter zapadł się pod ziemię. Mamy jeszcze czas, pomyślałem, bo próbę dźwięku przed koncertem zamierzaliśmy tego dnia zrobić później. Wślizgnąłem się z powrotem do kokonu, żeby pospać jeszcze kilka godzin, zamknąłem oczy i zacisnąłem kciuki, przede wszystkim za to, żeby Skeeter był cały i zdrowy, ale też za to, żeby nie okazało się, że zostawił nas na łodzie w środku trasy, tysiące kilometrów od domu i bez kasy na podróż powrotną. Była to uzasadniona obawa, bo już raz zniknął.

Był rok 1990 i trasy ze Scream zaprowadziły mnie wszędzie, od Luizjany do Lublany, od Memphis do Mediolanu, od San Francisco do Sztokholmu – byłem zaprawionym w bojach weteranem, wiedziałem, jak radzić sobie z kryzysem i konfliktami, które czasem się zdarzały. Zniknięcie jednego członka zespołu to była codzienność życia w trasie. To, czego doświadczyłem w trakcie błyskawicznego

kursu przetrwania za mniej niż dziesięć dolarów dziennie w ciasnym wanie, stało się wygodnym przyzwyczajeniem: gładko przystosowałem się do życia w drodze.

Szczególnie ekscytujące były trasy po Europie. Odwiedziliśmy kraje, które dotąd widywałem w wieczornych wiadomościach albo o których czytałem w bardzo nieuważnie studiowanych podręcznikach. Zamiast jednak oglądać zabytki, jak większość turystów zza oceanu, poznawałem świat od ciemnej strony, strony undergroundowej sceny punkowej. Scream był już raz w trasie po Europie i stworzył sieć kontaktów. Ci ludzie przyjęli nas jak rodzinę, zapewnili nocleg, wyżywienie, a nawet sprzęt, bo nie było nas stać na przywiezienie własnego ze Stanów. Większość z nich też była muzykami i mieszkała w squatach – w opuszczonych budynkach zajmowanych przez punkowców i anarchistów, którzy żeby przeżyć, często nielegalnie podłączali się do miejskiej sieci elektrycznej i wodno-kanalizacyjnej. Społeczności radykałów były dla mojego podatnego na wpływy umysłu nie tylko intrygujące, ale też inspirujące, ponieważ życie w tych prowizorycznych komunach wymagało zredukowania potrzeb do tych najbardziej podstawowych, zrezygnowania z typowych dla konwencjonalnego stylu życia postaw i celów (materializmu, chciwości, pogoni za wysokim statusem). Ich członkowie wybierali wolność, walkę i rozumienie tego, że potrzebujemy siebie nawzajem, żeby przetrwać. Wydało mi się to naprawdę piękne i o lata świetlne odległe od podmiejskiego życia w domkach z równo przystrzyżoną trawą, czyli czegoś, co zostawiłem za sobą. Prosta wymiana: piosenka za ciepłe łóżko, sprawiała, że byłem wdzięczny, że jestem muzykiem. Do dziś przywołuję to uczucie, kiedy potrzebuję złapać dystans w wirze mojego obecnego, o wiele bardziej skomplikowanego życia.

Amsterdam stał się naszą europejską bazą wypadową z wielu powodów. Niektóre są oczywiste (zioło), inne miały związek z logistyką (bliskość północy Europy). Odkładaliśmy pieniądze zarobione na ciężkiej pracy fizycznej i kupowaliśmy bilety *stand-by* w holenderskich

liniach lotniczych Martinair (po dziewięćdziesiąt dolców na głowę), lądowaliśmy na lotnisku Schiphol, pierwszej nocy krailiśmy rower i przez kilka kolejnych tygodni przygotowaliśmy trasę: dzwoniłiśmy w mnóstwo miejsc, używając „spiratowanej” karty telefonicznej, gromadziliśmy sprzęt i wypożyczaliśmy vana, który przez następne miesiące miał być naszym domem. Żeby dorobić, oddawaliśmy butelki w sklepie nocnym, próbowaliśmy swoich sił na automatach w barach, a nawet podejmowaliśmy się różnych prac, żeby związać koniec z końcem. (Pracowałem kiedyś w małej wysyłkowej wytwórni płytowej Konkurrent, pakując płyty do pudeł, które szły w świat. Robiłem to głównie po to, żeby sfinansować uzależnienie od zioła, zanim wyruszymy w trasę). Ledwie zaspokajaliśmy swoje podstawowe potrzeby, ale gościnność i koleżeńskość naszych bezinteresownych przyjaciół sprawiały, że mieliśmy wrażenie, że żyjemy w luksusie. W końcu do tego stopnia zakochałem się w Amsterdamie, że spróbowałem nawet nauczyć się niderlandzkiego, i stwierdzam z pełnym przekonaniem, że to język, który uda się opanować tylko komuś, kto urodził się w Holandii.

NAJWAŻNIEJSZE JEDNAK, ŻE BYŁEM WOLNY, A NA KAŻDYM KROKU CZEKAŁA NA MNIE PRZYŁODA.

Pewnego wieczoru, kiedy piliśmy i gadaliśmy na chodniku przed naszym ulubionym punkowym barem, De Muur, poczuliśmy, że coś się dzieje po drugiej stronie ulicy, we Vrankrijk, jednym z najbardziej znanych squatów w Holandii. Armia skinheadów i faszystów zorganizowała atak na budynek i kiedy ich grupy maszerowały wąską uliczką, mieszkańcy Vrankrijk przygotowawali się do starcia. Na balkonach rozbłyły oślepiające reflektory, a w oknach pojawiły się kraty. Punkowcy wylali się z budynku z prowizoryczną bronią i tarczami. Wybuchły prawdziwe zamieszki, do których szybko dołączyliśmy, ciskając w faszystów kuflami z piwem. Byliśmy jak kapuły wyrzucające słodowe granaty. W ciągu kilku minut intruzi poddali się i uciekli, a my bawiliśmy się dalej, świętując zwycięstwo

jak powracający z wojny wikingowie. To już nie był rock'n'roll. To była historia jak ze średniowiecza.

A przecież była to tylko zwykła wtorkowa noc.

Podróżowanie po Europie przez przepiękne wiejskie okolice stało się jedną z moich ulubionych rozrywek, przyjemniejszą niż monotonna jazda niekończącymi się amerykańskimi autostradami. Czekały nas jednak pewne wyzwania. Przemieszczając się z kraju do kraju, co tydzień łądowaliśmy w innej strefie językowej, a komunikowanie się z miejscowymi sprowadzało się do prymitywnego języka migowego, ocierającego się o groteskową pantomimę. A mimo wszystko uczyłem się czegoś o językach i kulturach, których nigdy nie poznałbym w szkole, a odwiedzanie tych miejsc pogłębiało moje rozumienie świata jako wspólnoty, która jest mniejsza, niż większość ludzi sobie wyobraża. Za to przekraczanie granic... to dopiero była przygoda... Wyobraźcie sobie radość celników na widok paczki młodych punków w wanie na holenderskich numerach (zapala się duża czerwona lampka), wyładowanym gitarami i wzmacniaczami (jeszcze mocniej świecąca czerwona lampka). To było wręcz zbyt łatwe – ustawiali nas na chodniku jak więźniów i wywracali vana do góry nogami w poszukiwaniu wszelkiego rodzaju kontrabandy (muszę wyznać, że w ciągu tych kilku lat przeżyłem niemało rewizji osobistych). My jednak, pewnie dlatego, że zbyt wiele razy obejrzeliliśmy *Midnight Express* (z 1978 roku), wiedzieliśmy, że przed przekroczeniem granicy trzeba wypalić całą marihuanę i haszysz, żeby nie musieć dożywać swoich dni w ciemnych, wilgotnych lochach. Ale i tak zawsze znajdowaliśmy sposób na przechytrzenie systemu. Upychaliśmy na przykład koszulki Scream (sprzedawanie ich na koncertach zapewniało nam utrzymanie) w głośnikach, żeby uniknąć płacenia cła, albo chowaliśmy małe działki haszyszu w dreadach Skeetera, żeby mieć co palić podczas wielogodzinnej jazdy z koncertu na koncert (nie ma nic lepszego niż widok naszego basisty, który bawi się z psem do szukania narkotyków na granicy, kiedy się wie, że w jego splątanej szopie jest pełno

towaru), robiliśmy, co się dało, żeby przetrwać. A jednak kilka razy tylko cudem udało nam się uniknąć poważnych kłopotów.

Byłem kiedyś w Amsterdamie ze swoim włoskim przyjacielem Markiem Pisą. Marco jest tatuażystą, poznałem go w Bolonii – malowałem jego salon w zamian za piękny wzór na lewym ramieniu. Szliśmy wąską uliczką, kiedy zaczęło nas dwóch ćpunów. Chcieli nam sprzedać heroinę. Żaden z nas nie był fanem heroiny (ani ćpunem), więc Marco grzecznie podziękował twardym: „Odpierdolicie się!” – i poszliśmy dalej. Faceci naciskali, szli tuż za nami, pukali nas w plecy. I wtedy nagle Marco wyciągnął nóż sprężynowy, otworzył go szybko jak ninja i powtórzył: „ODPIERDOLCIE SIĘ!”. Zszokowany szykowałem się do ewakuacji, ale kątem oka zauważyłem, że jeden z ćpunów zamierza wałnąć mnie z całej siły w głowę metalową rurką znaną na placu budowy, który mijaliśmy. Marco i ja ruszyliśmy biegiem, ścigani przez sforę wrzeszczących zombie. Ledwo nam się udało, a potem zjedliśmy przyjemny tajski lunch nad malowniczymi kanałami.

Prawie każdy uznałby, że taki incydent to dostateczny powód, żeby się spakować i lecieć do domu, do ciepłego łóżka, ale to właśnie ryzyko trzymało mnie w trasie. **NOCNA JAZDA PODEJRZANYMI SAMOCHODAMI Z WYPOŻYCZALNI W CZASIE SKANDYNAWSKIEJ BURZY O APOKALIPTYCZNEJ MOCY, PASZPORTY SKRADZONE Z POKOJU, GDY ŚPISZ, WALKI NA PIĘŚCI Z DUPKAMI, KTÓRZY PRÓBOWALI UKRAŚĆ Z VANA SPRZĘT ALBO RZECZY – KAŻDY DZIEŃ BYŁ CZYSTĄ KARTĄ CZEKAJĄCĄ, ŻEBY JĄ ZAPISAĆ.**

Nawet gdy byłem na dnie, nieszczęśliwy i głodny, nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym się poddać. Do czego miałbym wracać? Miałem błagać szefa sklepu z meblami, żeby pozwolił mi znów pracować po dziesięć godzin dziennie i malować rozkładane sofy jaskrawymi toksycznymi lakierami 3M? Spędzić życie na dojazdach w godzinach szczytu, na liczeniu centrów handlowych i fast foodów na każdym rogu? Wolałem już leżeć w małym mieszkanku w Hiszpanii, z gorączką, drgawkami, zlany potem i osłabiony z powodu grypy, i słuchać dobiegającego z dołu jazgotu barcelońskiej ulicy Las

Ramblas. Wolałem spać na zimnej scenie w szwedzkim nocnym klubie w Linköpingu, po koncercie, podczas którego ratownicy medyczni musieli reanimować kogoś umierającego z powodu przedawkowania narkotyków. Wolałem jechać na koncert we włoskim squacie i zastać mieszkańców na paleniu pościeli z powodu wybuchu epidemii świerzbu albo zostać ostrzeżonym, żebym nie jadł makaronu przygotowanego przez miejscowego promotora, który próbował nas otruć w odwecie za to, że zepsuliśmy toaletę.

Wóz albo przewóz, jak to mówią.

Może to jednak niepewność takiego życia skłoniła Skeetera do odejścia po raz pierwszy. Wiosną 1990 roku, w trasie, która miała się okazać moją ostatnią europejską trasą ze Scream, z jakiegoś powodu nie mógł już wytrzymać i poleciał do domu, porzucając nas na innym kontynencie, kilka tysięcy kilometrów od Stanów. Na szczęście na kilku koncertach zastąpił go nasz dobry znajomy Guy Pinhas, więc mogliśmy skończyć trasę i zostało nam wystarczająco dużo kasy na lot *stand-by* liniami El Al. Zaczynałem jednak myśleć, że Skeeter nie jest oddany zespołowi tak bardzo jak Pete, Franz i ja. My zrobilibyśmy wszystko, żeby przeć do przodu.

Choć żaden z nas nie był niezastąpiony, między naszą czwórką dawało się wyczuć niezaprzeczną chemię, a Skeeter i ja mieliśmy swój niepodrabialny groove, coś, co wpoił mi podczas naszych pierwszych wspólnych prób kilka lat wcześniej, coś, czego bardzo mi brakowało, kiedy graliśmy z innymi basistami. Kiedy dołączyłem do Scream, byłem jak dzikie źrebię – grałem najszybciej i najciężej, jak potrafiłem, a na końcu każdej frazy wrzucałem bezsensowne przejścia na werblu, żeby zrobić wrażenie. Któregoś dnia Skeeter kazał mi usiąść, skręcił gigantycznego jointa z opakowania tamponu, które znalazł w łazience, i upalił mnie tak, że nie wiedziałem, co się dzieje.

– No dobra. Teraz zagramy jeden riff, w kółko ten sam riff, przez pół godziny, a ty nie zrobisz ani jednego przejścia na werblu – powiedział.

Łatwizna, pomyślałem. Siadłem do bębnów, a on zaczął grać całkiem gładką linię basu, trochę reggae, trochę Motown – i dołączyłem do niego pewnie. Nie minęło czterdzieści pięć sekund, a już poczułem potrzebę zagrania przejścia na werblu. Ale on potrząsnął głową, żeby mnie od tego odwieść, więc ciągnąłem ten groove. Minutę później znów poczułem nieodpartą potrzebę zagrania szalonego przejścia na werblu. To było jak muzyczna odmiana zespołu Tourette’a albo jak powstrzymywanie się od kichnięcia, ale Skeeter znów pokręcił głową. W gruncie rzeczy ujeżdżał dzikiego konia, uczył mnie szacunku dla prostoty i siły prostego groove’u, powstrzymywania się od pustych popisów. Po trzydziestu minutach byłem zupełnie innym perkusistą. Możliwe, że była to najcenniejsza lekcja muzyki w moim życiu, i jestem mu za nią dozgonnie wdzięczny.

Kilku basistów, którzy grali pod jego nieobecność na kolejnych trasach, było świetnymi muzykami, ale gdy zadeklarował chęć powrotu



do zespołu, trudno było mu odmówić. Choć martwiliśmy się, że znów się ulotni. W tamtej chwili przyszłość zespołu rysowała się w jasnych barwach – właśnie nagraliśmy trochę nowych utworów, które zwróciły uwagę znajomego punkowca. Facet był związany z biznesem muzycznym i zaproponował pomoc w szukaniu większego wydawcy. Dostaliśmy do podpisania umowę, która dawała mu prawo do dysponowania naszym demo i szukania najlepszej oferty. Był kolegą kolegi, cieszył się szacunkiem na scenie punkowej, uważano go za kogoś, na kim można polegać. Pomyśleliśmy, że to może być to. Może wreszcie znaleźliśmy drogę ucieczki z uliczek pełnych ćpunów i squatów z szalejącym świerzbem, z miejsc, do których przez te lata przywykliśmy. Mimo że kusiło nas, żeby podpisać umowę od razu, postanowiliśmy przemyśleć sprawę, zanim powierzemy swoje życie komuś obcemu.

Dopiero kilka miesięcy później, pewnego nieznośnie upalnego dnia w Spokane, kiedy utknęliśmy na parkingu przed restauracją Denny's, po tym, jak wiele naszych koncertów zostało odwołanych, wreszcie wyciągnęliśmy w vanie kontrakt i zaczęliśmy czytać. Czuliśmy, że nie mamy nic do stracenia. Bo w tamtej chwili rzeczywiście nie mieliśmy. Kurczyły nam się możliwości i choćbyśmy nie wiadomo jak się starali, to wciąż było za mało. Bez konsultacji z prawnikiem podpisaliśmy kontrakt w akcie desperacji, naiwnie i nieodpowiedzialnie. Ta naiwność miała mnie za rok dużo kosztować, gdy ten punk, na którym ponoć można było polegać, pozwał mnie, dwudziesto-jednoletniego dzieciaka, za to, że dołączyłem do Nirwany. Twierdził, że w zasadzie należę do niego. Tak, proszę państwa, wyglądało moje pierwsze spotkanie z biznesem muzycznym.

Ale wtedy przynajmniej czekała nas wyprawa do Los Angeles.

Los Angeles było najjaśniejszym punktem każdej trasy, nie tylko z powodu oczywistych uroków kilku dni w stolicy lakieru do włosów, ale też dlatego, że mieliśmy tam rodzinę: siostrę Pete'a i Franza, Sabrinę. Sabrina była najzabawniejszą, najbardziej pełną życia, najpiękniejszą kobietą, jaką można było spotkać. Pod koniec lat

osiemdziesiątych sennym przedmieściom Wirginii nadała szyk LA. Kiedy odwiedzaliśmy Los Angeles, zawsze zatrzymywaliśmy się u niej, a ona, jak seksowna przyzwoitka z ejtisowego teledysku, pokazywała nam miasto, od jasnych świateł Sunset Strip do swojego miejsca pracy: klubu Hollywood Tropicana.

Sabrina zajmowała się zapasami w błocie.

Dla nieobeznanych z tym raczej niszowym sportem – rzecz polega na walce dwóch osób w błocie, które tak naprawdę chyba nie jest prawdziwym błotem, tylko czymś podobnym do serpentyny w sprayu i oleju (mnie nie pytajcie, nigdy nie miałem przyjemności). Sport ten nie jest (jeszcze) dyscypliną olimpijską, a zasady są raczej luźne – rzecz polega zwykle na tym, że dziewczyna w bikini staje przed pijanym biznesmenem, który roztrwonił większość pieniędzy przeznaczonych na rozrywkę na to, żeby wysoka supermodelka w odbłaskowym kostiumie kąpielowym spuściła mu łomot. Dziewczyny naprawdę tłuką tych gości tak, że trzeba ich potem odholowywać. Trzymają się za naderwane genitalia i krzyczą z bólu, podczas gdy tłum ryczy jak Rzymianie w Koloseum. Mimo że dla Pete’a i Franza patrzeć, jak ich młodsza siostra wkracza z obcym facetem na śliski ring pełen błota, musiało być trudne, chodziliśmy tam na darmowe drinki i umieraliśmy ze śmiechu, kiedy wynoszono kolejnych pokonanych gości. A po bezlitosnej rzezi wracaliśmy do bungalowu w Laurel Canyon, który Sabrina dzieliła z kilkoma innymi zapaśniczkami, i imprezowaliśmy do rana. Nie robiliśmy tego dlatego, że byliśmy ciekawi mniej wyrafinowanego życia.

Los Angeles mnie fascynowało. Niemal równie mocno jak wieki historii w Europie, ale inaczej. Wszystko wydawało się tam tak... niewiarygodne. Chociaż już Waszyngton można uznać za miasto zmienne, miasto, w którym radykalne transformacje dynamiki społecznej następują z każdą kolejną administracją, LA ewoluuje dosłownie z minuty na minutę. Jakby było największym dworcem autobusowym Greyhounda – ludzie pojawiają się i znikają jak

w obrotowych drzwiach. Wypatrują swojej szansy, często odchodzą pokonani, zostawiając za sobą śmieci, w których brodzą ich następcy w nadziei, że to o n i okażą się następnymi gwiazdami. Wyczuwa się tam jakiś smutek, który próbuje się maskować nadmiernym folgowaniem sobie, przez co porannego kaca trochę trudniej zapić. A nic nie otrzeźwia lepiej niż pobudka na podłodze w mieszkaniu zapaśniczki, kiedy musisz się modlić, żeby twój kolega z zespołu nie zostawił cię na lodzie. Znowu.

O osiemnastej wciąż nie było nawet śladu Skeetera, więc z żalem musieliśmy odwołać wieczorny koncert. Zaczęła do nas docierać prawda. Nie ma Skeetera, nie ma gigu. Nie ma gigu, nie ma kasy. Nie ma kasy, nie ma żarcia. A koniec trasy oznaczał, że nie będziemy mogli wrócić do domu, więc zacząłem już rozważać tę koszmarną możliwość, że resztę życia spędzę w głębokiej rozpacz, w najbardziej olśniewającym mieście świata, brodząc w śmieciach jako jego najnowsza ofiara. Wydobywaliśmy się przez lata z najrozmaitszych dołów, ale ten zdawał się wyjątkowo głęboki.

Mijały kolejne dni, a my żyliśmy jak bezpieckie zwierzęta dzięki naszym taplającym się w błocie gospodyniom, które codziennie wieczorem przychodziły i wysypywały z kieszeni na dywan w salonie sterty dolarów. Jedliśmy rzadko i wkrótce głód dał o sobie znać. Nasz *roadie*, Kanadyjczyk Barry, dostawał bony żywnościowe z opieki społecznej i to pomogło nam nie umrzeć z głodu, ale wkrótce i bony się skończyły. Do dziś nie używam wyrażenia twardy orzech do zgryzienia, bo pamiętam, jak któregoś dnia znalazłem w kuchni puszkę starych orzeszków i ona uratowała mi życie. Bez dwóch zdań było nam wtedy ciężko, ale po wielu latach w trasie byłem zdeterminowany, musiałem przetrwać za wszelką cenę, więc próbowałem nie tracić ducha. Nie było łatwo.

Żeby dorobić, zacząłem pracować przy kładzeniu kafelków w kawiarni w Costa Mesa. Stawało się jasne, że w najbliższej przyszłości nie wrócimy do domu. Barry w końcu wyjechał do Kanady, kiedy

zdał sobie sprawę, że utknęliśmy w ślepych zaułku. Nietrudno go było zrozumieć. Zacząłem tracić nadzieję i potrzebowałem choćby chwilowej ulgi, ocalenia z tego tonącego statku. Nasz sprzęt kurzył się na dole w małym garażu Sabriny, ale po jakimś tygodniu zauważyłem, że coś jeszcze zbiera tam kurz: motocykl honda rebel 250, rocznik 1985. Wyglądała jak zabawkowa wersja harleya-davidsona i była cudowną maszynką. Może i stała w hierarchii tylko o stopień wyżej od motoroweru, ale świetnie nadawała się do śmigania po mieście. Jako że zawsze marzyłem o posiadaniu motocykla (to był dosłownie mój powracający sen), pobiegłem na górę, żeby zapytać, do kogo należy. Okazało się, że do jednej z zapaśniczek, współlokatorek Sabriny. Na moje pytanie odpowiedziała:

– Pewnie, bierz! Zatankuj i jest twój!

TO BYŁA MOJA SZALUPA RATUNKOWA.

Nie miałem prawa jazdy ani kasku (w tamtych czasach i tak nie był wymagany). Poczekałem, aż zajdzie słońce, zatankowałem zbiorniczek do pełna i ruszyłem na wzgórze. Unikałem głównych arterii w obawie przed zatrzymaniem i, no... dlatego, że nie potrafiłem jeździć na pieprzonym motorze. Wszystkie problemy zostawiłem za sobą na zagraconej podłodze – po prostu jeździłem bez celu po Laurel Canyon w okolicy domu Sabriny, spędziłem też długie godziny w wijącym się labiryncie uliczek zamożnych Hollywood Hills, patrząc w dół, na blask światła miasta, i w górę, na niezliczone wspaniałe domy wśród drzew. Marzyłem o tym, żeby któregoś dnia samemu zamieszkać w takim luksusie. Zapewne w każdym z tych domów mieszkała gwiazda rocka albo gwiazda filmowa, producent czy reżyser, ktoś, kto podążył za marzeniami i mu się udało, a ja zastanawiałem się, jakie to uczucie osiągnąć sukces na taką skalę, jakie to uczucie żyć tak wygodnie i nie martwić się o to, co będzie na kolację. Przepaść między fantazją a rzeczywistością była tak wielka, tak niewyobrażalna, że nawet nie było warto się zastanawiać. Więc jeździłem dalej. To była moja ucieczka. Mój tymczasowy ratunek.

To była szalupa ratunkowa, którą odpłynąłem od tonącego w oddali statku. Kiedy pędziłem przez noc, odtworzyłem w głowie wszystkie kroki, które doprowadziły mnie w to miejsce, a jednocześnie próbowałem zaplanować następne. Co noc powtarzałem ten rytuał, a potem budziłem się rano w śpiworze na podłodze, z powiekami spuchniętymi od kurzu z kanionu, i wracałem do rzeczywistości, w której byłem bezdomnym pupilkim zapaśniczki.

I WTEDY USŁYSZAŁEM CZTERY SŁOWA, KTÓRE NA ZAWSZE ZMIENIŁY MOJE ŻYCIE: „SŁYSZAŁEŚ KIEDYŚ O NIRWANIE?”.

Zadzwonił do mnie dawny przyjaciel, który dorastał z chłopakami z Nirvany w malutkim miasteczku Aberdeen w stanie Waszyngton, i powiedział, że zespół szuka perkusisty, że kilka tygodni wcześniej, podczas naszej pechowej trasy, widzieli Scream na żywo. Podobno byli pod wrażeniem mojej gry. Dostałem ich numery. Pewnie, że słyszałem o Nirwanie. Ich debiutancki album *Bleach* stał się dla sceny undergroundowej przełomową płytą. W jedenastu utworach łączył metal, punk i beatlesowskie melodie, był arcydziełem, które miało odmienić krajobraz muzyki „alternatywnej” (a do tego tak się złożyło, że jego nagranie kosztowało sześćset sześć dolarów). Szybko stał się jedną z moich ulubionych płyt, a wyróżniał się na tle hałaśliwych, ciężkich punkowych nagrań, ponieważ były na nim p i o s e n k i. I ten głos... Nikt nie miał takiego głosu.

Po kilku kolejnych dniach frustracji i głodowania postanowiłem dać przeznaczeniu szansę i zadzwonić do basisty Nirvany, Krista, żeby zapytać o fuchę dla bębniarza. Nie znałem go, więc przedstawiłem się i wyjaśniłem, że dostałem jego numer od wspólnego znajomego. Trochę pogadaliśmy, po czym Krist poinformował mnie z żalem, że stanowisko perkusisty zajął już ich dobry znajomy Dan Peters z Mudhoney. Pomyślałem, że to nie koniec świata i że i tak warto było spróbować. Zostawiłem Kristowi swój numer w Los Angeles i poprosiłem, żeby się odezwał, jeśli Nirvana będzie kiedyś w LA, bo zanosilo się na to, że Miasto Aniołów niestety zostanie moim domem na stałe.

Tego samego wieczoru zadzwonił telefon. Dzwonił Krist. Chyba przemyślał sprawę.

– Lepiej pogadaj z Kurtem – powiedział.

Choć Danny Peters był świetnym perkusistą, miał zupełnie inny styl niż ja. Grał w podstawowym stylu typowym dla lat sześćdziesiątych. Moje prostackie neandertalskie bębnienie w stylu disco wydawało się lepiej pasować do klimatu Nirwany. A poza tym Krist i Kurt czuli się winni, zabierając perkusistę chłopakom z Mudhoney, jednego z ich ulubionych zespołów. Od razu zadzwoniłem do Kurta i trochę pogadaliśmy o muzyce. Od N.W.A do Neila Younga, od Black Flag do Beatlesów, od The Cramps do Creedence Clearwater Revival: odkryliśmy, że dużo nas muzycznie łączy i że warto zorganizować przesłuchanie.

– Daj znać, jeśli będziesz mógł do nas przyjechać – zaproponował Kurt nonszalancko tym swoim charakterystycznym głosem, który dziś zna cały świat.

Pożegnaliśmy się i musiałem podjąć najtrudniejszą decyzję w życiu.

Od dnia, kiedy dołączyłem do *Scream*, czułem się częścią rodziny. Chociaż byłem dużo młodszy od Pete'a, Franza i Skeetera, zawsze traktowali mnie jak równego sobie, szybko się zaprzyjaźniliśmy i spędzaliśmy razem prawie każdy dzień, w trasie i poza nią. Spędziłem z nimi najważniejsze lata życia, te, które mnie ukształtowały, odkrywając muzykę, świat, a w końcu i siebie, więc odejście i zostawienie ich na tonącym statku sprawiło mi ból, jakiego dotąd nie czułem, większy nawet niż pożegnanie z ojcem, kiedy się mnie wyparł, bo rzuciłem szkołę. Zawsze trzymaliśmy się razem, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, wspólnie pokonaliśmy tyle trudności. Ale tamten kryzys miał w sobie coś ostatecznego, coś, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać nad swoją przyszłością. Więc jak zawsze, kiedy rozmyślałem o tym, co robić dalej, i potrzebowałem głosu rozsądku albo mądrej rady, zadzwoniłem do jedynej osoby, która nigdy nie poprowadziła mnie w złą stronę...

Do matki.

Zadzwoniłem na jej koszt z budki na parkingu przed sklepem płytowym w Orange County i ze łzami w oczach wyjaśniłem, jaki mam dylemat, a ona zrozumiała doskonale, bo w głębi duszy żywiła do Pete'a i Franza takie uczucia jak ja. W s y c y staliśmy się z czasem rodziną, moja matka uważała chłopaków za kogoś więcej niż moich kolegów z zespołu: byli moimi braćmi. Nigdy nie zapomnę rady, która popchnęła moje życie w stronę przeznaczenia.

– David... wiem, że kochasz swoich przyjaciół, ale czasami musisz stawiać s w o j e potrzeby przed potrzebami innych. Musisz zatroszczyć się o s i e b i e.

Zaskoczyły mnie te słowa w ustach kobiety, której całe życie było ich dokładnym przeciwieństwem, ale ponieważ była najmądrzejszą osobą, jaką znałem, odłożyłem słuchawkę z postanowieniem, że pójdę za jej radą, bez względu na konsekwencje.

Spakowałem worek, śpiwór i zestaw perkusyjny do dużego kartonu i ruszyłem do Seattle, miasta, które odwiedziłem tylko raz i w którym nie znałem właściwie nikogo. Zostawiałem za sobą dotychczasowe życie, żeby zacząć nowe. Miałem poczucie straty, jakiego wcześniej nie doświadczyłem. Tęskniłem za domem. Tęskniłem za przyjaciółmi. Tęskniłem za rodziną. Byłem naprawdę sam, z powrotem w punkcie wyjścia, zaczynałem od początku. I wciąż byłem głodny. Ale byłem też kimś, kto nie lubił jałowego wysiłku, chciałem iść dalej. W końcu byłem też ciągle wolny, a na każdym kroku czekała przygoda.

Do dziś prawie codziennie przejeżdżam obok tego domu, tego tonącego statku w Laurel Canyon. Z biegiem lat popadł w ruinę, znikając pod naporem czasu, ale wspomnienia i lekcje, które wtedy dostałem, wciąż są żywe i dziś biorę własną szalupę ratunkową na nocną przejażdżkę, kiedy chcę odtworzyć w głowie wszystkie kroki, które doprowadziły mnie w to miejsce, i zaplanować następne.

BO WCIAŻ KAŻDY DZIEŃ JEST CZYSTĄ KARTĄ (ZEKĄJĄCĄ), ŻEBY JĄ ZAPISAĆ.